

Zakończenie sporu.

Od chwili, gdy Katarzyna Hull podniosła się z łóżka, nie przemówiwszy słowa do męża, do owej drugiej chwili, gdy ukłękła przy jego łożu, całując jego rękę, upłynęła okrągła godzina i trzydzieści trzy minuty.

Była ósma rano i dzień straszliwie zimny. Narzuciwszy suknię, rozpałała ogień. Tom leżał w łóżku, na plecach, zupełnie nieruchomo, podciągawszy koldrę pod sania brodę. Wiedziała, że nie śpi, ponieważ dopiero co wydał jakiś głos: czkawki czy jeku. Oddychał z trudnością, jak zdarzało mu się często, gdy nocą piał za wiele. Była tak rozniewana na niego, że nawet nie patrzyła w jego stronę. Zarzuciła jakąś płachtę na siebie, otulając głowę i ramiona i wyszła po mleko do śniadania. Nie odezwał się do niej. Zgnębiona i przybita wysunęła się na dwór, na ulicę nędznej dzielnicy, w której zamieszkiwali. W niezdrowym powietrzu wisiała mgła, w której — jak w białym potoku — tonały żelazne słupy u wylotu ulicy. Z obu stron chodników nędzne, natłoczone domy pogrążone były w ciszy i mroku, bo-wiem jest charakterystyczne, że wszystkie prawdziwe dzieci nocy późno wstają z rana. Stara, zbrodnicza, stale zagrożona rozbiórka dzielnica, istniała pomimo wszystko i zła miała opinię. Była przystanią dla zbrodniarzy wszelkiego typu i śmiało rzecz było można, że jeśli który z jej mieszkańców nie był przestępcą, był conajmniej zwolennikiem zbrodni.

W porze późniejszej przebudzenia się dzielnicy nie byłaby się odważyła wyjść w tym nędznym stroju. Zamiast płóciennej płachty byłaby narzuciła porządną chustkę. Kupiła odrobinę mleka i wracając do domu, czuła piekący ból w duszy na myśl o tym nieczułym glazie, który pozostawiła w łóżku. Cierpienie, jakże jej wyrządził, umacniało ją w postanowieniu przedłużenia niezgody. Ślubowała sobie, że nie odezwie się do niego, póki jej nie przeprosi i nie zapewni o poprawie.

Nie było nic dziwnego, że sprzeczką wytknęła o kobiecie, ponieważ żyli z sobą już od lat piętnastu. Chodziło o Birdie, lekkomyślną dziewczkę z tej dzielnicy. Gdyby był ukrywał swoją zdradę, rzecz byłaby do darowania, lecz shańbił ją, rozgłaszając o tem wszystkim. Dnia poprzedniego imny mężczyzna, Chris Brown, przewany Dandy, zrobił mu awanturę przed domem, a Tom, nie zwracając uwagi, że każdym słowem rani prawowitą swą małżonkę, krzyczał na całą ulicę, że kochał Birdie i cieszył się jej wrażliwością, zanim Chris pokusił się zabiegać o jej względy. Zagroził mu i omal nie doszło do bójki.

Katarzyna Hull podniosła roletę, wpuszczając do pokoju mgliste, przesiąknięte dymem światło dzienne. Nie wymówił słowa. Gdy wchodziła do mieszkania miał oczy otwarte, lecz zamknął je znowu, gdy zbliżyła się do łóżka, jakby tem uniknąć pragnął nawiązania się rozmowy.

Zdjęła marynarkę jego z krzesła i doznała niespodzianki, która od razu zerwała

tamy milczenia. Dolna część ubrania porwana była w strzępy. Gniew — tym razem gniew gospodarniej kobiety tylko — uniósł ją.

— Cóżś zrobił z ubraniami, ty idjoto, żeby zrujnować je w ten sposób? — wrzasnęła na cały głos. Jego milczenie w odpowiedzi doprowadziło ją do wściekłości.

Wtem doznała nowej niespodzianki. Spozstrzegła, że marynarka nie była podarta, lecz przepalona. Cała kieszeń została wyrwana, jakby przez wybuch.

Zrozumiała od razu co to oznaczało. Ostatniej nocy chodziło o prace, a nie o przyjemność. Przy zawodowych swych zajęciach ukrywał broń w tej właśnie szerokiej, wygodnej kieszeni. Strzelał, trzymając broń przy biodrze, jak opisywał jej to nieraz, uważając ten sposób za najskuteczniejszy i najmniej widoczny. Opowiadania o tem zawsze napełniały ją trwogą, a teraz skoro fakt stwierdziła naocznie, była bardziej jeszcze zatrwożona.

Odrzuciwszy ubranie na krzesło, spokojnie otworzyła dolną szufladę łóżka jednej szafy. Nie było rewolweru, choć tutaj trzymał go zawsze, razem z innymi przykreimi narzędziami swego fachu.

Raz jeszcze wzięła marynarkę do ręki, by obejrzeć ją dokładnie i zadrżała, zauważywszy krwawe plamy na wewnętrznej jej stronie. Złożyła ją, zwinęła i wsunęła do szuflady.

— Cóżś zrobił z rewolwerem? — szepnęła, nachylając się nad nim. — Tomie, jestem niespokojna. Gdzie jest twój rewolwer?

— Zabrali mi go, — mruknął, nie otwierając oczu. — To nic nie szkodzi. Daj mi spokój.

Lecz nie mogła już pozostawić go w spokoju. Była przerażona i zasypywała go pytaniami. Czy przeszkadzono im przy robocie? Czy był zmuszony porzucić wszystko i uciec? Czy mu coś groziło?

Uspokoił ją. Nie było o co się troszczyć. Wkońcu zaczęła go namawiać, by usiadł na łóżku i coś zjadł, lecz odmówił.

— Tomie, a może jesteś chory? — Nachyliwszy się nad nim, odgarnęła mu włosy z czoła i poczuła, że było zroszone potem. — Niedohrze się czujesz, stary? Cóżś pił przed robotą? Czy jesteś pewny, że była to czysta wódka, a nie jakieś fałszowane rzeczy? No już dobrze... prześpij się. Ale, jak myślisz, może lepiej będzie, jeśli spale twoją marynarkę?.. Tak zrobię to jeszcze przed południem. A teraz wyjdę na chwilę — zaraz wrócę.

Nowe i odrębne uczucia zażegnały nieporozumienia. Zapomniała o tem, co sobie ślubowała.

Wyszła raz jeszcze, tym razem czysto ubrana. Wszędzie przed otwartymi drzwiami stały grupy ludzi.

— Słyszała pani? Zabito Chrisa? Powia dają, że Birdie była z nim... Znaleźli rewolwer mordercy... Spodziewać się możemy policji każdej chwili...

Słowa te niemal przyprawiły ją o utratę przytomności...

Zabiłeś Chrisa Brown i są na twoim tro-

pie... Będą tutaj lada chwila... Zamknęła drzwi na klucz i usiłowała wpoić weń zrozumienie grożące mu niebezpieczeństwa

— Tomie, ukryj się gdzie, na miłość Boga.

— Daj mi spokój — bąknął znowu.

— Mówię ci, zaraz tutaj będzie policja.

— Niechaj przyjdzie, — rzekł ze stoicyzmem.

— Nie ruszę się z tego powodu.

Błada jak trup, trzęsąc się całym ciałem, szeptała mu swoje perswazje.

Była dziewiąta godzina — jasny dzień. Nie odważyła się niszczyć zdradliwej marynarki w obawie, że przeszkodzić jej mogą w tem zajęciu. Zamknęła drzwi i wyszła do wzburzonych sąsiadów, udając spokój. Przeżywała najcięższe pół godziny w swym życiu.

Aż wreszcie przyszedł.

Sprawa ta przez policję traktowana była bardzo poważnie dla swej tajemniczości. Jak zdarza się często w tym końcu Londynu, zdanzenie miało przypadkowego świadka: jakaś staruszka z okna widziała całą bójkę i upierała się przy swym twierdzeniu, że było dwóch zabitych. Początkowo jeden mężczyzna strzelił do drugiego, a potem dzie wczyna jakimś sposobem zawiadnęła rewolwerem i strzeliła do mordercy. Gdy uciekała, obaj przeciwnicy leżeli powaleni.

Jednak znaleziono tylko jednego — Chrisa. Była to rzecz niepojęta dla policji. Zjawiała się, silna liczebnie. Obstawiono dzielnicę. Wszyscy mieszkańcy jej wylegli na ulicę; schody do mieszkania Hull'ów były natłoczone i Katarzyna z trudnością powstrzymała ciekawych i policję od wtargnięcia do pokoju.

— Wejść nie można. Mówię przecie, że jest chory. Od trzech dni nie wstawał z łóżka.

— Och! wiemy dobrze, że wychodził minionej nocy! Bez głupstw, proszę! Zobaczycie go musimy.

Odsunęli ją ode drzwi, weszli do pokoju i nachyliłi się nad nim, jak Katarzyna przed trzydziestu pięciu minutami.

— Śpij pan? No, nie sądzę. W każdym razie, przebudź się!

Wtem z okrzykiem grozy wysoki sierżant policji odwinął koldrę i spojrzął na kałużę krwi i blade, nieruchome ręce. Tom nigdy więcej obudzić się nie miał. Powołała utrata krwi spowodowała zgon, a teraz było już po wszystkim. Wiedział od razu, że czeka go śmierć, gdy wrócił do przytomności i zawłóknął się do domu, by umrzeć tak, jak żył, ze stoicyzmem z domieszką jeno goryczy w straszliwych cierpieniach na myśl, że cios śmiertelny zadała mu Birdie, że zginął z jej ręki.

Katarzyna Hull jęknęła i padając na kolana ujęła dłoń Toma, okrywając ją pocałunkami i oblewając łzami.

Tłum. L. M.

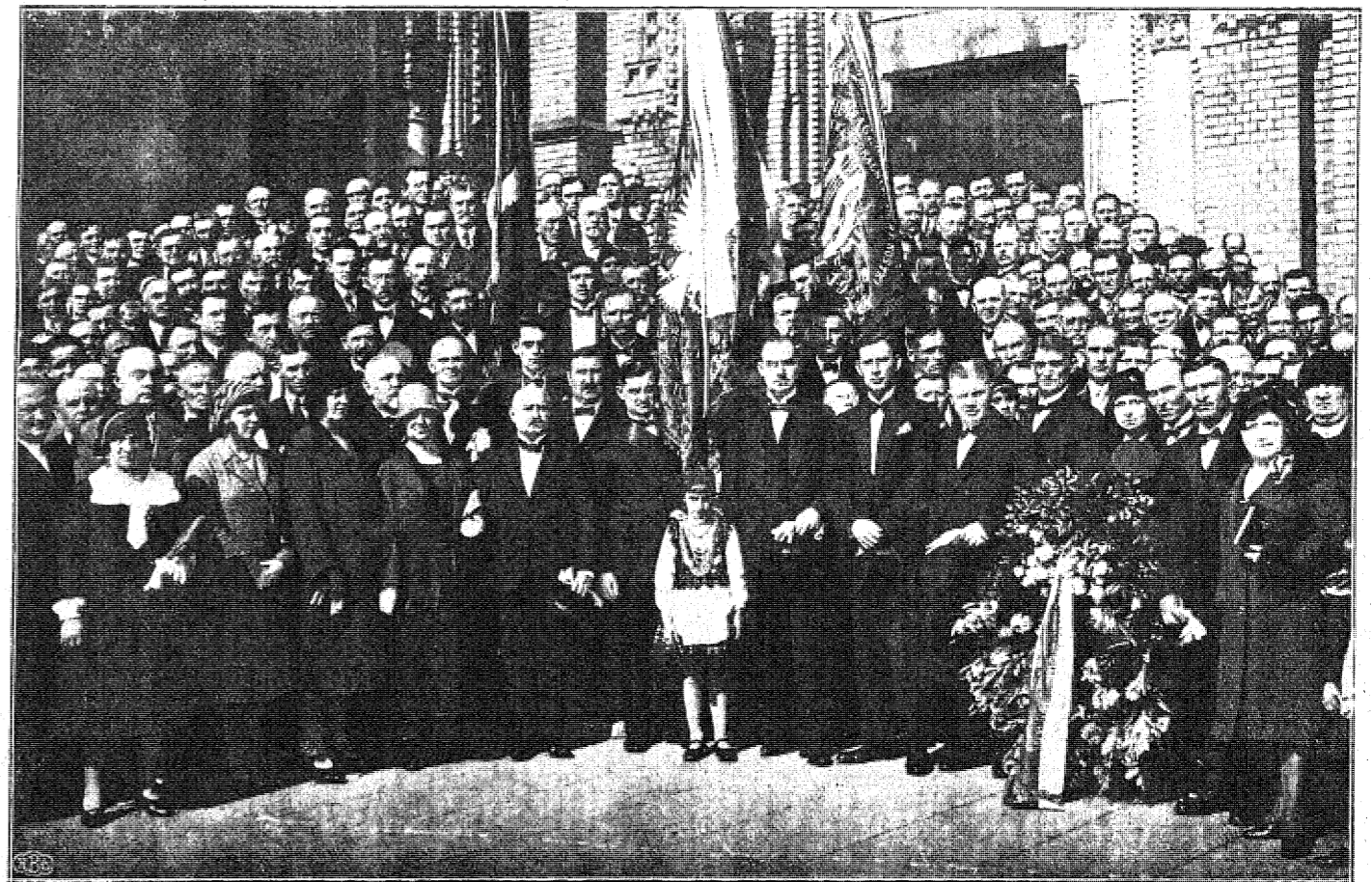


Rok VI.

Niedziela, 21 września 1930 roku.

Nr. 39.

Pod sztandarem Stow. Właścicieli Nieruchomości.



W niedzielę, dnia 14 b. m., odbyła się w Łodzi uroczystość poświęcenia sztandaru Stowarzyszenia Właścicieli Nieruchomości, Koło w Rokichu. Udział w niej wzięły liczne delegacje Stow. Właścicieli Nieruchomości w Łodzi, z prezesem radnym Szorem na czele. Na zdjęciu widzimy uczestników uroczystości, zebranych przed katedrą po wysłuchaniu na- bożeństwa.

TEATRALIA.

Z teatrów stołecznych. — Nowa historia o...
Szwajku.

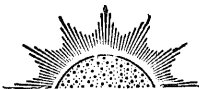
Nowy sezon w teatrach miejskich w Warszawie zaznacza się zmianą zasadniczą: ustąpieniem ich dyrektora, p. Artura Słowińskiego, który nie pozostawia po sobie żalu, ani zbyt dobrego wspomnienia. Poważna krytyka stołeczna oddawna już występowała pod adresem dyrekcji teatrów miejskich z bardzo poważnymi zarzutami i zastrzeżeniami, wywołującymi nieudolną i bezplanową, a przytem drogo miasto kosztującą gospodarką dyrektora. Zarzuły te, z wyjątkiem Teatru Letniego, mającego pomniejsze, oczywiście znaczenie, dotyczyły wszystkich pozostałych teatrów miejskich, a — trzeba przyznać, że rzeczywistość dostarczała aż nadto materiału do najrozmaitszych, całkiem uzasadnionych pretensyj.

Przedewszystkiem odnosi się to do pierwszej sceny polskiej — Teatru Narodowego — którego repertuar przedstawiał w minionym sezonie obraz niezrozumiałej chaoty i dziwnego lekceważenia literatury ojczyznej. — Chaotyczność ta uwydatniała się w wystawianiu utworów bez poważniejszej wartości artystycznej, czasem licho wie po co przyswaianych z twórczości obcej, co w Teatrze Narodowym staje się grzechem absolutnie nie do przebaczenia. Kamerálny Teatr Narodowy, który, w myśl zapowiedzi, jak zwykłe szumnych i górnych, miał być placówką pierwszorzędnej doniosłości, sceną eksperymentalną i literacką, zaznajamiającą elitę Warszawy z najnowszymi prądami współczesnej sztuki dramatycznej i reżyserskiej, wskutek nieudolnej gospodarki repertuarowej świecił stale pustkami a wkońcu, zmuszony był zamknąć swe podwoje, nienal w środku sezonu. Sprawa opery warszawskiej, zabagniona została wreszcie pod każdym względem do tego stopnia, że jeszcze w początkach bieżącego miesiąca nikt bodaj w Warszawie nie potrafiłby odpowiedzieć na pytanie, czy i na jakich warunkach reprezentacyjna scena stołeczna będzie prowadzona w sezonie 1930-31. Ten krótki i niepełny rejestr błędów i zaniedbań dyrekcji miejskich teatrów warszawskich musiał — prędzej czy później — spowodować dymisję p. Słowińskiego, czego zresztą już oddawna domagano się w kołach artystycznych i teatralnych Warszawy.

Powracając do kwestji opery stołecznej, którą wypadło się nam zajmować już kilka razy, warto zamotować pokrępiającą nowinę, że jednak opera nie zostanie zaniżona i że miasto prowadzić ją będzie nadal, zmniejszwszy jednak do minimum budżet operowy. Oszczędności postanowił zarząd miejski osiągnąć przez: 1) zwiększenie godzin pracy i zrzeczenie się przez personel dodatkowych wynagrodzeń; 2) indywidualne umowy, sporządzone jednak na podstawach umowy zbiorowej; 3) zrzeczenie się t. zw. 13 pensji. Ten ostatni warunek wywołał najgwałtowniejszy opór li-

cznego personelu, ostatecznie przecież pracownicy opery przyjęli, z pewnemi omówieniami warunki miasta, tak, że kwestja otwarcia sezonu operowego należy już do dni najbliższych. Należy się cieszyć szczerze z osiągnięcia tego teatralnego kompromisu, gdyż nietylko ratuje on honor naszej stolicy, w której po raz pierwszy od niepamiętnych czasów mogłoby zabraknąć reprezentacyjnej sceny, — ale ponadto zapewnia egzystencję zastępowi paruset pracowników tejże sceny, którzy w innym wypadku znaleźliby się w tych złych i ciężkich czasach na bruku bez żadnej — w większości — nadziei na znalezienie dla się war ształu pracy.

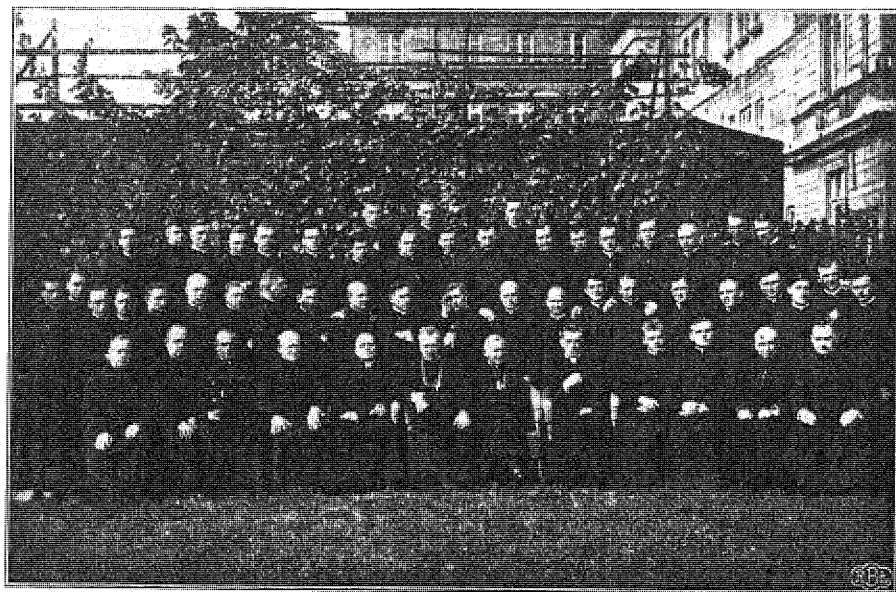
Głośna była przed niedawnym czasem polemika, prowadzona w prasie stołecznej i czasopismach literackich na temat autorstwa scenicznego opracowania „Szwajka”, granego dotychczas w Teatrze Polskim. — Chodziło mianowicie o to, że o tytuł tego autorstwa ubiegali się pp. Wittlin i Hemar, każdy zaś z nich na poparcie swych pretensyj wytaczał różne racje i argumenty. Spór wynikł z tego powodu, że dyrekcja Teatru Polskiego umieściła na afiszu jedynie nazwisko p. Hemara, pomijając niewiadomo dlaczego nazwisko znakomitego autora, zarówno jak tłumacza. Obecnie, jak podkreśla Boy - Żeleński w swych „Niedyskrecjach teatralnych” spór został rozstrzygnięty przez traf i traf wystąpił w roli sędziego. Przed Warszawą bowiem grano Szwajka w Krakowie, Lwowie i w Łodzi w opracowaniu niemieckich pisarzy Broda i Reimana, a w przekładzie J. Wittlina; w Warszawie zaś oddano gotowe do opracowania w ręce p. Hemara, który poczynił w niem bardzo drobne zmiany, nie uprawniające bynajmniej do... roszczeń autorskich. Gdy zachorował nagle warszawski Szwajk, Stefan Jaracz, dyrekcja Teatru Polskiego sprowadziła do Warszawy samo-



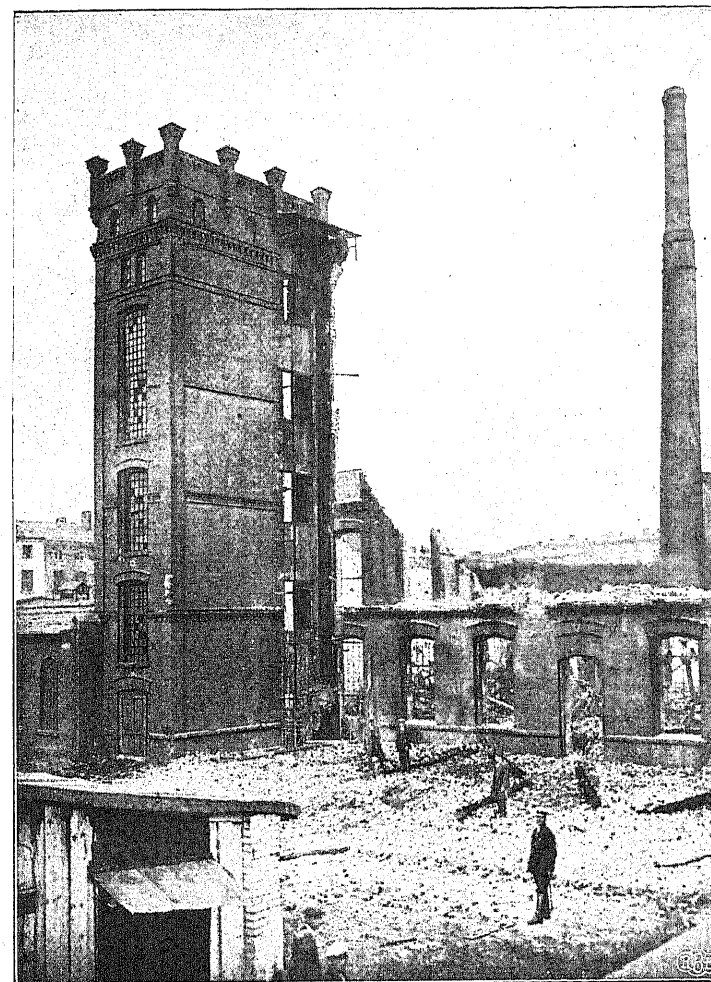
Znakomity skrzypek, Maurycy Lewak, dyryguje obecnie orkiestrą w „Grand-Café” w Łodzi.

lotem Szwajka... lwowskiego, dyr. Czarnowskiego, który tego samego wieczora, prawie bez próby, wystąpił w sztuce, sygnowanej przez p. Hemara. Wniosek stąd jasny i oczywisty...

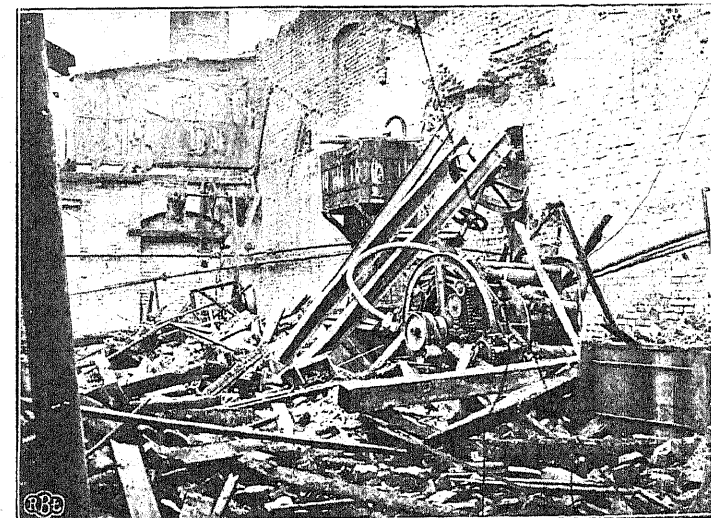
Delta.



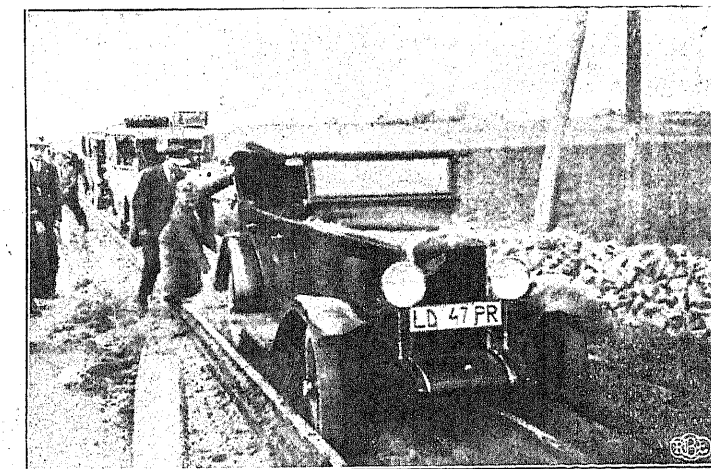
Lucnowieństwo Djecezji Łódzkiej z J. E. ks. biskupem dr. Wincentym Tymienieckim na czele.



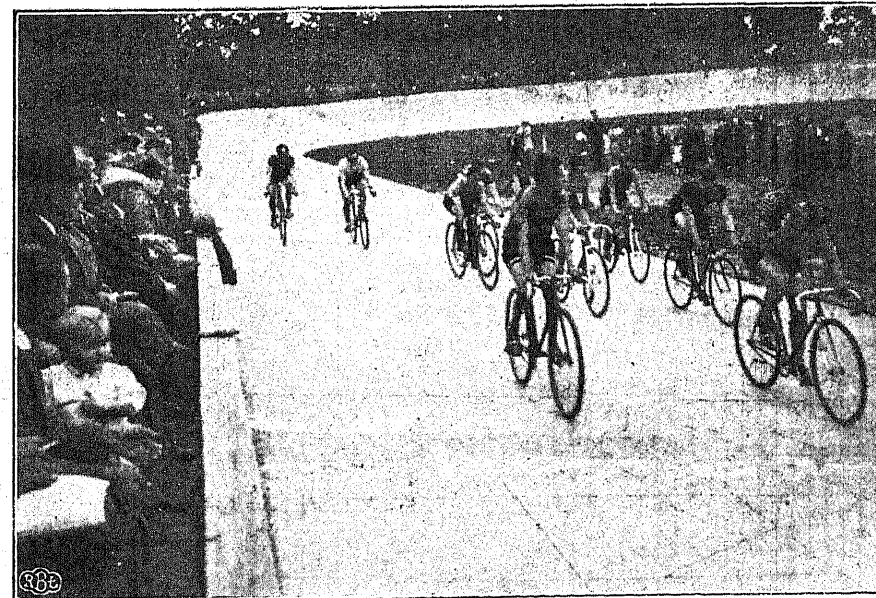
W ubiegłym tygodniu miał w Łodzi miejsce wielki pożar. Ogień wywiązał się w fabryce Reichmana, przy ul. Napiórkowskiego. Powyżej widzimy zabudowania fabryczne po pożarze.



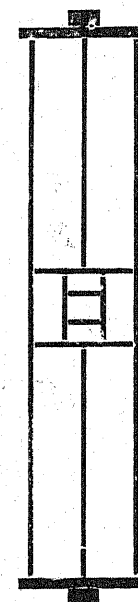
Oddział fabryki Reichmana — zniszczony pożarem. Hala maszyn fabrycznych leżąca w gruzach i popiele.



Łódź i jej okolice nie mogą szczycić się swymi drogami, których stan wymaga szybkiej i właściwej naprawy. Oto jak się jedzie drogami do miasta.

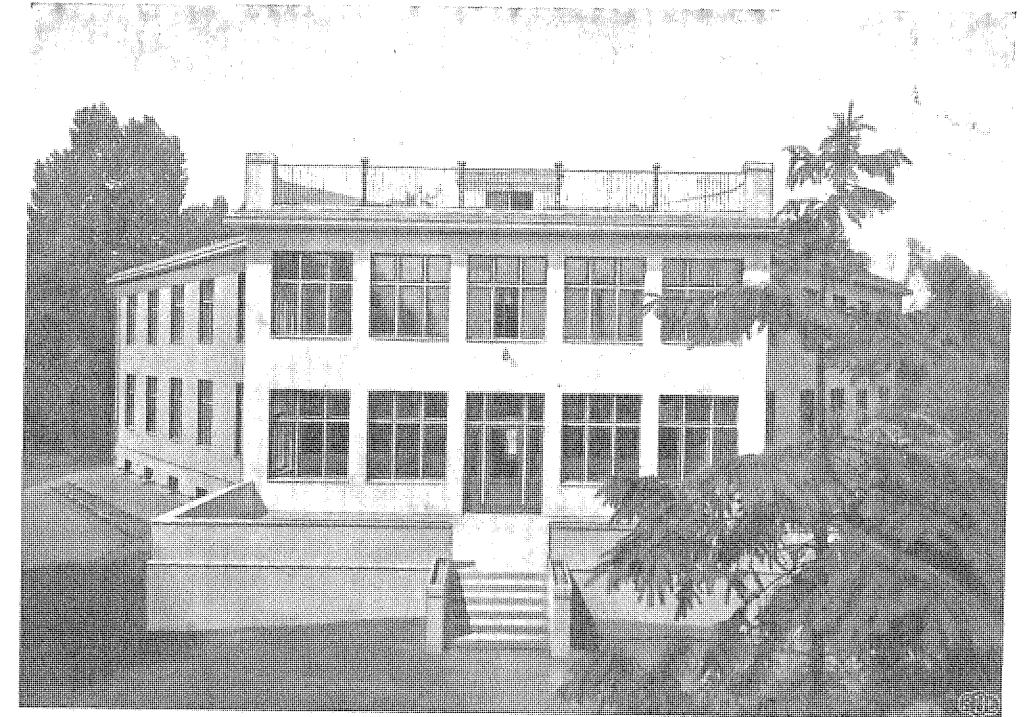


W ubiegłą niedzielę na torze w Helenowie odbyły się wyścigi kolarskie o tytuł mistrza Polski, który zdobył p. Artur Szmidt z „Unionu”. Powyżej widzimy od strony lewej fragment z wyścigów, na prawo — mistrza Artura Szmidta.

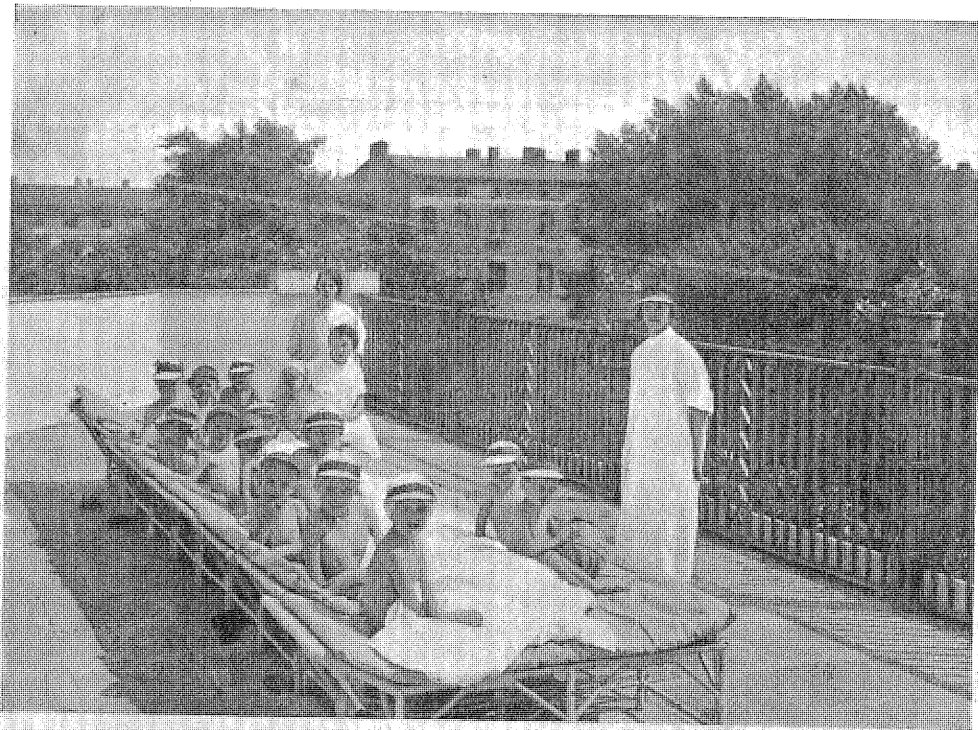




Od lat 25-ciu w prawdziwej oazie zieleni wznosi swe przytulne, pełne ukojenia dla tych maleńkich, a już cierpiących, których w gościnę przyjmują mury, szpital dziecięcy Anny Marji w Łodzi przy ul. Rokicińskiej. Wielkie są dobrodziejstwa, jakimi da-

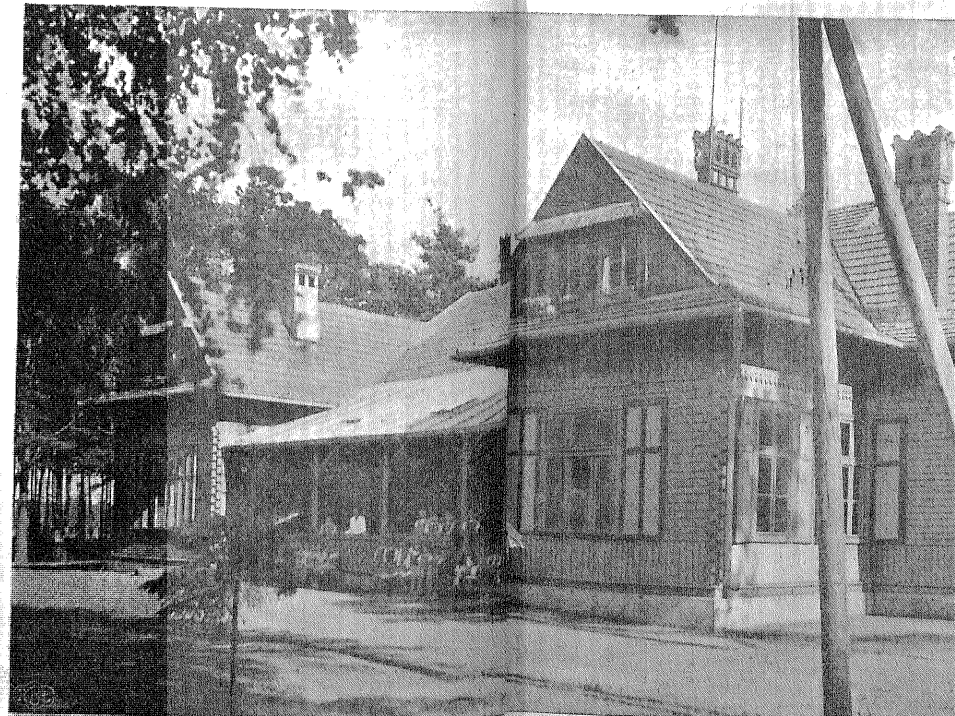


kładni była przed 25-laty żona przemysłowca łódzkiego, p. Małylda Herbstowa, której podobiznę widzimy obok. Zdjęcia nasze ilustrują u góry od strony lewej nowy pawilon szpitala Anny Marji od strony północnej, podobiznę fundatorki szpitala p. Ma-

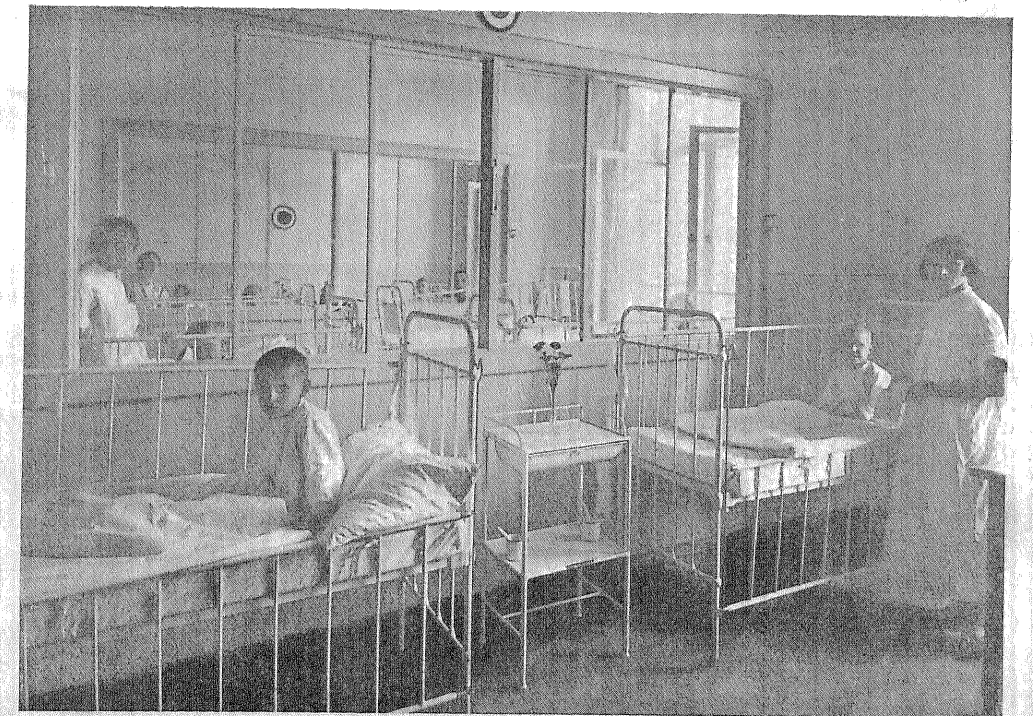


rzy swych małych pacjentów ten przybytek, otaczający cierpiącą dźiatwę prawdziwym macierzyństwem. Znajdują one w jego murach wiele przytulności, ukojenia, radości po dniach smutku i cierpienia. Szpital Anny Marji jest dzisiaj wielkim zakładem

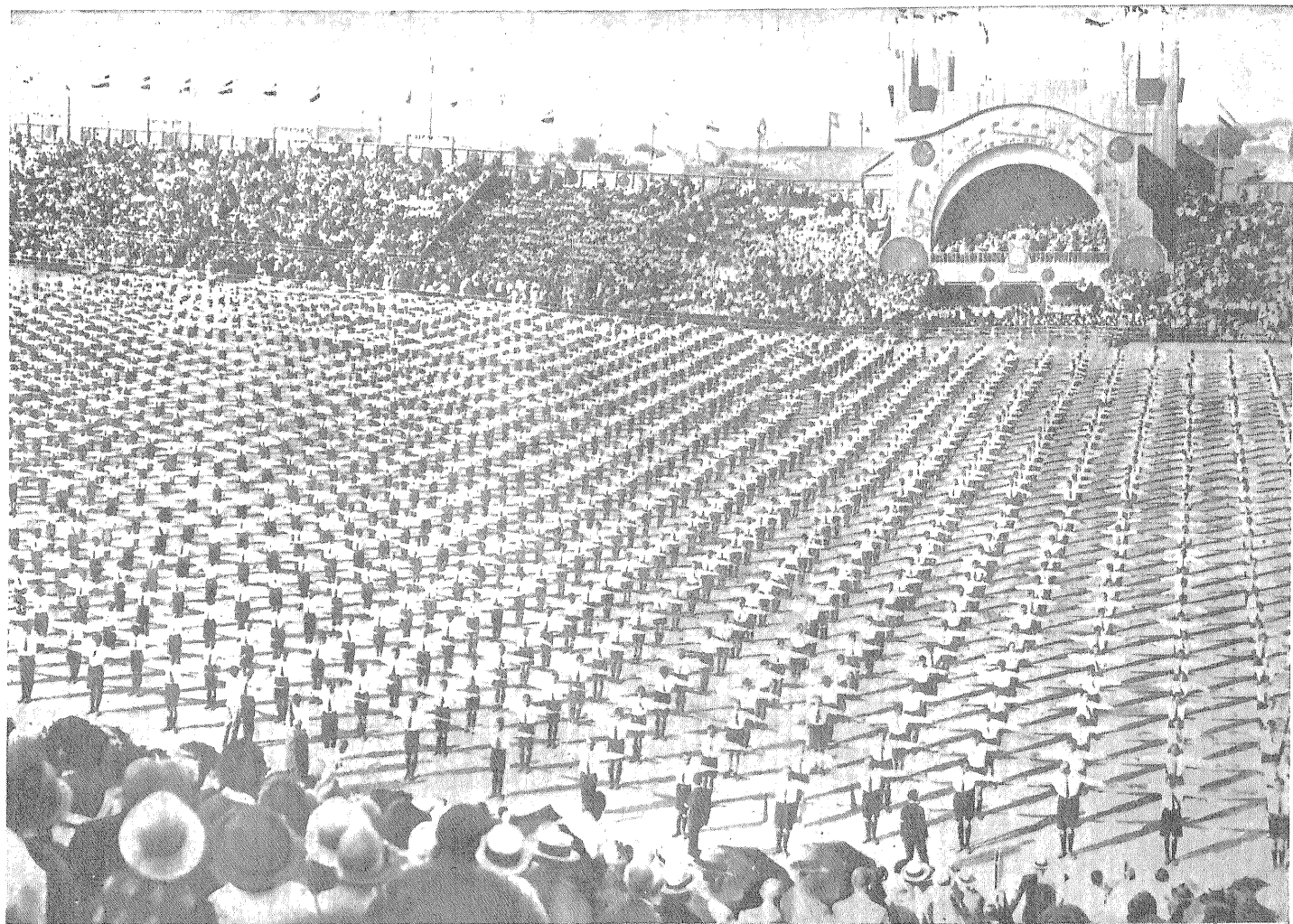
lecznicy, wspaniale wyposażonym, stoją na wysokim poziomie leczenia. Z okazji 25-lecia tego niezwykle pożytecznego i jedynego w naszym mieście



szpitala dziecięcego poświęcamy w miarę możliwości kilka fragmentów ilustrujących jego urządzenia i zabudowania. Wymnieć należy, że fundatorką tego za-



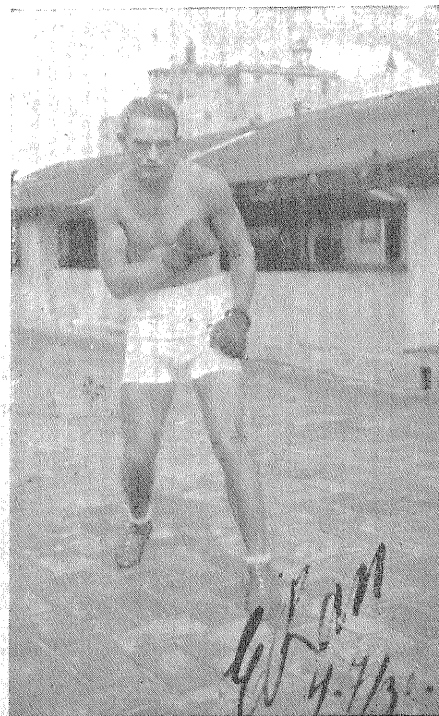
tylady Herbstowej i nowy pawilon im. Kunicera od strony południowej. U dołu od strony lewej widzimy wzorowo urządzone leżalnię przy pawilonie im. Kunicera, sanatorium szpitala w Sokolnikach pod Łodzią oraz salę w nowym pawilonie.



Najstarsza organizacja sportowa „Sokół” kolebka sportu światowego, obok podobnych organizacji najmłodszych nadal pozostaje niestrudzoną propagatorką idei wychowania fizycznego, szczególnie w zakresie zbiorowych ćwiczeń gimnastycznych. Stojące na wysokości zadania potężne jej zastępy młodzieży wszystkich narodów dorocznie prezentują światu swą tężyznę i swą sprawność na ogólnym zjeździe. Na zdjęciu widzimy jeden z naprawdę pięknych obrazów gimnastycznych braci sokolej, popisującej się na nowoczesnym stadionie sportowym w dniach zlotu sokółów w Belgradzie.



Trzy chluby Polski — mistrzynie i rekordzistki, Kobielska, Konopacka i Jasiońska



Jedyny polski zawodowy bokser. Edward Ram, w czasie codziennego treningu w Milwaukee.



Hazena, ulubiona gra bramkowa, rozpowszechniona w Polsce, posiada liczne zwolenniczki. Powyżej Chajkowska i Fidzińska na meczu P.J.W.P. — Warszawianka.



Luiza Moran i Victor Langlen w „Kawalerach nocy”.



Imogena Robertson i John Gilbert w dramacie filmowym „Noce w pustyni”.



Janet Gaynor i Charles Farrell, najsubtelniejsza para kochanków na srebrnym ekranie.



Iwan Linow, niezrównany odtwórca „czarnych charakterów” na ekranie.



Słynny śpiewak Lawrence Tibbett w filmie dźwiękowym „Pieśniarz Gór”.



Rod la Rocque, ulubiony amant filmowy.



Bessie Love, świetna gwiazda amerykańskich filmów dźwiękowych.

Stylowy hotel.

— Po raz ostatni 1190. Tablica jest na przeciwko. Wyraźnie: 1190...

Młot aukcyjatora opadł... a przy ogłosie jego radośnie zabiło serce Raymonda Brossette. Tysiąc sto dziewięćdziesiąt fr. gdy cena zasadnicza wynosiła tysiąc pięćdziesiąt... Było to za bezcen... Jednak sąsiadka jego, dama, współzawodnicząca z nim przy kupnie, która ofiarowała cenę o dziesięć franków niższą od niego, była odważnego zdania.

— Wkońcu — rzekła do swojej towarzyski — rada jestem, że nie utrzymałam się przy nim... Drzewo jest zrobaczale, a co do pokrycia fotelu, nie jestem wcale pewna, czy jest z tej epoki... A potem, ileż to pracy wymagałaby restauracja!...

— Nie mówiąc już o niebezpieczeństwie, — przeliczyła ją przyjaciółka. — Nie wiadomo jakie mikroby się tam gnieźdzą...

I ją opowiadać historię całej rodziny, zakazanej perskim dywanem.

Raymond Brossette słuchał tego opowiadania z błyskami wesołości w oczach.

— Mówię prawdę, proszę pana...

Niema powodu do śmiechu.

— Nie śmieję się wcale, zapewniam panią. Prostu promienieję, ponieważ, rad jestem ze swego nabytku...

Raymond Brossette był szczęśliwym czło-wiekiem. Zaręczył się niedawno z córką swego szefa, bardzo bogatego fabrykanta samochodów i los zrzucił, że śliczną Simoną Guerland, wychowaną w otoczeniu ultra nowoczesnym, narówni z nim przepadała za antykami. Obrali przyszłe mieszkanie w starej willi na ulicy Jacob, gdzie założyli kazali ogrzewanie centralne. Tymczasem zamieszono hotel z epoki Ludwika 13 do obecnego mieszkania Raymonda na ul. Bonaparte.

Tragarz, po ustawieniu swego ciężaru, wierzchem dłoni otarł czoło. zroszone potem...

A do licha! to ci był ciężar!! Jakby zło-wiek jaki na nim siedział!

Raymond, całkowicie przejęty radością z powodu swego nabytku, spóźnił się trochę na obiad rodzinny, jaki zwykle spożywał w rodzinie narzeczonej. Uzyskał przebaczenie zapowiedzią niespodzianki.

— Zobaczcie to u mnie jutro w porze powieczorku. Zamówię u mojej zacnej Urszuli placek ze słiwkami.

Urszula, kuchmistrzyni - emerytka i a-nioł poświęcenia, przyzwyczajona była do zupełnej szczerości względem swego „pana“, który przy niej przyszedł na świat.

— Placek będzie dobry, co do tego nie-ma obawy — zapewniała go. — Lecz jeżeli pan zaprosił te panie z powodu fotelu, to naprawdę nie było pogo je fatygować... Ziedzony jest przez robaki, a potem ten za-pach, jaki wydaje...

— Co za zapach?

— Trudno to określić... Tak przykry je-dnakże, że po wykadzeniu fotelu pootwie-rałam okną naoścież!

Raymond wzruszył ramionami ze śmiechem i udał się do salonu dla podziwiania swego fotelu. Obszerne jego siedzenie i monumentalna poręcz przyozdobione były sceną myśliwską, jednobarwnym malowidłem „camaieu“ szaro-zielonego koloru, roz-taczającym tajemnicze wrażenie leśnej głębi i światłocieni. Nachylił się, by stwierdzić ów przykry zapach, wzmiankowany przez Urszulę, lecz poczuł tylko kurz, który zmusił go do kichnięcia.

— Niech nas Pan Bóg ma w swej opiece, — rzekł — mnie i mój fotel. Oby tylko zyskał uznanie Simony.

Uzyskał je i jako zdolna uczenica Raymonda Simona dowiodła ze znajomością rzeczy, że pokrycie pochodziło z końca 18 stulecia, a drzewo z czasów Ludwika 13-go. Po ocenie cudownego nabytku usiadła w nim w świeżym wirze rozfalowanych falbanek. Matkę jej przeszył dreszcz.

— Jak można siadać na tem? Czy wiesz kto siadywał w tym fotelu? Może zakaż-nie chorzy lub konający? I pomyśleć, że mogliście zamieszkać w pałacyku umyślnie dla was zbudowanym, a wy z własnej chęci pakujecie się w cudze meble! I gdyby jeszcze chodziło o drzewo tych mebli! Każcie przynajmniej zmienić to okropne pokrycie, które walało się niewiadomo gdzie...

— Żartujesz chyba, mamo! Mam naj-szczerszy zamiar pocerować je własneni rękoma. Warte jest tego, prawda. Raymondzie?

Miał odpowiedź ucałował rękę narzeczonej. Jakże cudowna harmonja pano-wała między nimi!

Pomimo to źle spał następnej nocy — Przedewszystkiem nawiedził go dziwny sen. Jakiś człowiek u którego dostrzegł tylko zarysy twarzy, gdyż ciało jego spo-wite było w nieprzejrzyste mgły, usiadł u stóp jego łóżka... Mówił, nie poruszając ustami. Wyrazy zdawały się płynąć z oczu, pokrytych mgłą, podobną do tej, która otu-lala jego postać:

— Przyszedłem powiedzieć panu, że ja właśnie skonałem w tym fotelu... Jest to rzecz pospolita, naturalna i bynajmniej nie wstrętna, choć tak sądzi ta trochę zwarjowana pani, której córkę masz pan zamiar poślubić — o ile pan zdąży — oczywiście. Bówiem czas, odrobina tylko czasu, od-robinka.. jest to właśnie cała różnica pomiędzy żywymi i umarłymi... I o tem wie pan także, że czas szybko mija... A raczej nie mija, lecz wciąż się obraca... O, patrz, jak wiruje..."

Raymond zbudził się pod wpływem zawrotu głowy, który rozkołysał panujący dookoła niego mrok... Słyszał wyraźnie od-dalające się ciężkie kroki bosych stóp... zamilkły w salonie, dokąd zjawą dostała się, nie otwierając drzwi. Powróciła do swego fotelu.

Po upływie dwóch tygodni zupełnie stracił sen i apetyt. Niespokojny, zdenerwo-wany, krążył po swoim mieszkaniu jak w obcym mu miejscu i pilnował wszystkich

przedmiotów w nim, jak szkodliwych zwie-rząt. W tych warunkach spostrzegł pewnego rana, że fotel zmienił swe miejsce... Zamiast stać pod ścianą, znalazł się przy oknie, ustawiony tak, by siedząc w nim można było wyrzeć na ulicę. Raymond z irytacją pchnął go na dawne miejsce a wracając wieczorem, pośpiesznie wpadł do salonu, by sprawdzić czy...

I wówczas ujrzał Jego przed oknem — Ciało napozór ludzkie, płynne, a pomimo to wyraźnie zarysowane, opierające się obciema rękami o szybę, zaś ręce te były ogromne, rozpostarte i bez paznogi... Wiedział Go dokładnie w ciągu kilku sekund... a potem zjawą rozplynęła się w mgłę, wydobywającej się z jej czaszki, unoszącej się do sufitu.

Raymond nie kwapił się ze zwie-rzeniami co do dziwnego prześladowania, jakiemu podlegał. Poradził się tylko lekarza, jak w zwykłej chorobie.

— Doktorze, co noc niemal doznaję kilkakrotnie uczucia, że ktoś mnie dotyka i usiłuje udusić...

Lekarz starannie zbadał wysokiego, młodego człowieka, wychudzonego długą bezsennością i koszmarnymi snami. Ziożył winę na nerwowy tryb życia naszych czasów, okres narzeczeństwa, pozostałości po grypie... Przepisał kurację wypoczynkową na świeżym powietrzu, rzecz, która nigdy jeszcze nie zaskodziła nikomu.

— Simono, wyjeżdżam na kilka tygodni do Szwajcarii... lecz zanim wyjadę, mam ochotę sprzedać ten przeklęty fotel...

— Zrób jak uważasz, Raymondzie... Jest mi to obojętne.

— A jak myślisz, może lepiej będzie, jak go spale?

— Spał go, kochanie, jeśli sądzisz, że cię to wyleczy.

— Wyleczy?... Cóż to, myślisz, że zwą-rjowałem? Czemu tak patrzysz na mnie o-słupiałem! oczyma i wystraszonego wzro-kiem?

— Błagam cię, Raymondzie...

— No więc przypuśćmy, że oszalał... Szaleństwo jest taką chorobą, jak i każda inna... Leczy się ją, jak i inne dolegliwości... Widzę jednak, że ciebie trwoży... Żegnaj, Simono!

— Do widzenia, mój drogi, kochany. Pamiętaj, że ślub nasz odbędzie się, skoro tylko wyzdrowiejesz...

— Nie mogę wyzdrowieć... Przychodzi co noc, by mnie udusić... co noc... lecz nie udaje mu się to, bo ma palce bez paznogi... Jednak, gdyby dorosły...

Brossette został zamknięty w zakładzie dla obłąkanych, gdzie ręce bez paznogi do pomagają do nakładania mu kaftana bezpieczeństwa. Simona wstąpiła do klasztoru. A fotel stylowy z czasów Ludwika 13-go jest prawdopodobnie w sali licytacyjnej. — Nikomu nie doradzam jego kupna.

Tłum. L. M.



DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO“.

Rok VI.

Niedziela, 28 września 1930 roku.

Nr. 40.

Nowy gmach Izby Skarbowej w Łodzi.



W dniu dzisiejszym odbędzie się w Łodzi podniosła uroczystość poświęcenia i otwarcia nowego reprezentacyjnego gmachu, przeznaczonego na siedzibę Izby Skarbowej, która od lat szeregu nie posiadała własnego locum, koncentrującego wszy-stkie jej agendy. W uroczystości tej wezmą udział reprezentanci władz centralnych, z przedstawicielem Ministerstwa Skarbu, wiceministrem Starzyńskim na czele. Z okazji tej podajemy powyżej fronton tej nowej siedziby Izby Skarbo-wej, która mieści się przy ulicy Aleje Kościuszki 83. Nowy gmach posiada wszelkie walory, a w budowie jego uwzględ-niono potrzeby i wymagania, ułatwiające tryb urzędowania i ogrom pracy takiej instytucji, jaką jest Izba Skarbowa. Dzięki planowemu roznięczeniu biur i urzędów izby oraz skoncentrowaniu pracy jej w nowej, obszernej i higienicznej siedzibie wiele pozyska dobrego zarówno urzędnik jak też jej interesant. Na zdjęciu powyższym w owalu górnym wi-dzimy obecnego prezesa Izby Skarbowej w Łodzi, p. Zygmunta Kucharzkiego, niżej od strony prawej b. prezesa izby, p. Leona Towarnickiego od strony lewej zaś pierwszego kierownika Izby Skarbowej w Łodzi, dyr. Mikołaja Zawadzkiego.

Fot. A. Meyer, tel. 108-81.